Rok IX. Dnia 2 (14) Lipca 1888 r. № 28.

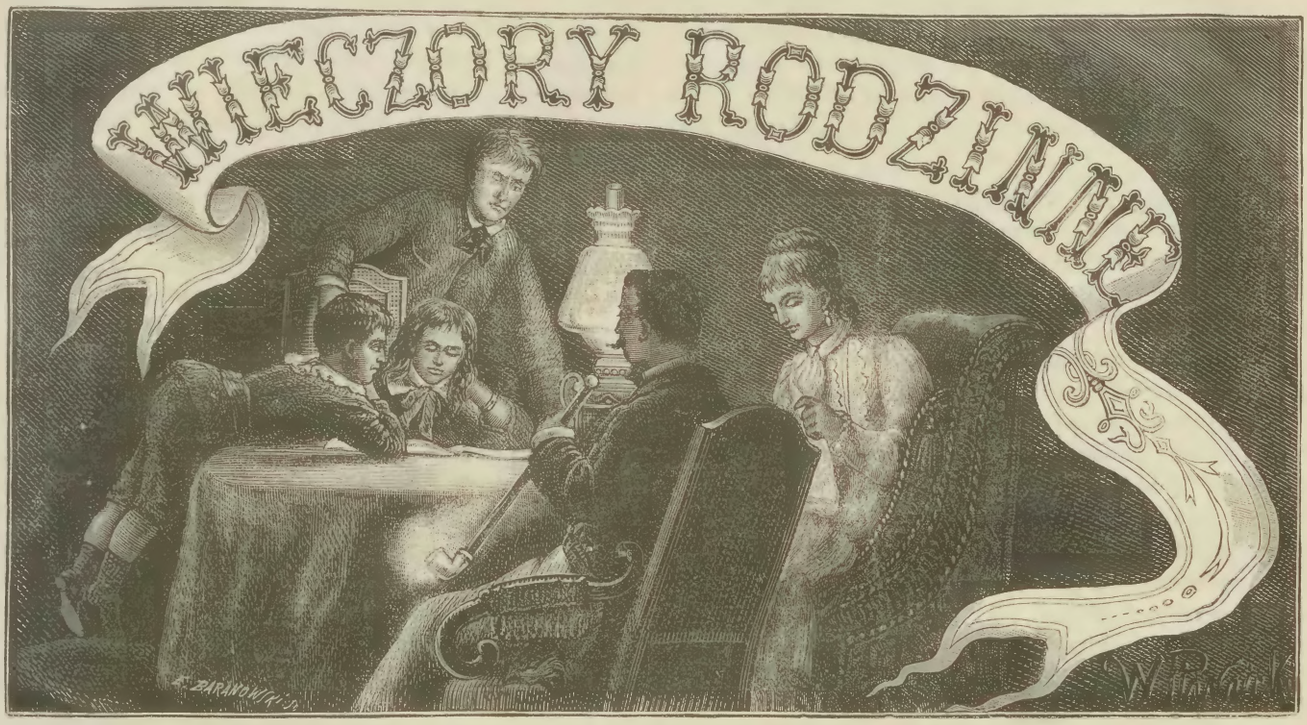

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

ZBIERANIE MOTYLI.

ubo dręczenie i zabijanie zwierząt, choćby najdrobniejszych muszek, jest rzeczą tak wstrętną, że nigdy nie chcielibyśmy czytelników naszych do czegoś podobnego zachęcać, czasem jednak zamiłowania naukowe skłaniają ludzi do zadawania śmierci niewinnym stworzeniom, a wówczas postępowanie ich przestaje być nagannem. Gdy dzieci naprzykład łowią motyle dla zabawki jedynie, aby przez chwilę przypatrzeć się zblizka ich pięknym barwom, a potem zdusić w palcach bez litości rzucić na ziemię, jak zwiędły kwiatek, jest to okrucieństwo niedarowane. Lecz jeśli starszy młodzieniec lub panienka chcą sobie urządzić zbiór owadów, i w tym celu motyle chwytają, niepodobna im tego brać za złe.

Od lat kilku z nadejściem lata podawaliśmy w „Wieczorach" sposoby urządzania zielników, a ponieważ niepodobna raz po raz powtarzać tego samego, więc wszystkich, którzy mają ochotę zasuszać rośliny, odsyłamy do dawniejszych roczników. Zajęcie to niezmiernie miłe, zawsze je zalecamy gorąco czytelnikom naszym, zwłaszcza czytelnikom młodszym. Nie odstręczamy jednak nikogo od zbierania motyli, to też podamy tu z kolei sposób przyrządzania ich, jak należy. Taki zbiorek, starannie ułożony, ponumerowany, ze stosownemi napisami, może stanowić przyjemną pamiątkę z wakacyj.

Kto chce zbierać motyle, powinien się zaopatrzyć najpierw w niektóre przyrządy niezmiernie proste i niekosztowne, opiszemy je szczegółowo. Motyle, owady łuskoskrzydłe, jak wskazuje ta nazwa, mają skrzydełka pokryte drobniuteńkiemi łuseczkami; one to nadają im te piękne, jaskrawe barwy. Przy najmniejszem potarciu, barwny ten pyłek się odrywa, wiedzą o tem dzieci, gdy ścisną nieostrożnie ładnego motylka, na palcach ich pozostają obtarte łuseczki kolorowe. Przedewszystkiem też starać się trzeba, chwytając te wątłe stworzenia, aby nie uszkodzić pięknych skrzydełek. W tym celu robi się zwykle odrębnego rodzaju siateczka.

Kto nie ma sposobności kupić téj siatki, może ją sporządzić sam w domu, z tiulu, gazy, a najlepiéj, według zdania znawców, z krepy, materyał ten jest najgładszy i nie obciera skrzydełek. Trzeba uszyć woreczek dość długi, u dna węższy, lecz nie śpiczasty, tylko zaokrąglony; w śpiczastym końcu motyl często grzęźnie i wydobywając go, łatwo uszkodzić można delikatne skrzydełka lub różki. Brzeg woreczka obszywa się szeroką, cieniutką tasiemką, we dwoje złożoną, w którą się wsuwa drucik żelazny giętki, można go tak urządzić z dwóch części osobnych, ażeby siatka się składała, ale to już jest zbytek, łatwo się bez tego obejść.

Drugim przyrządem niezbędnym przy łowieniu motyli jest poduszeczka na szpilki; robi się zwykle mała, okrągła, opatrzona petelką, na któréj ją zawiesić można u guzika. Szpilki należy wybierać w najlepszym gatunku, dość długie, najstosowniejsza długość jest 36 milimetrów, czarne są lepsze, bo pokrywający je pokost chroni od utlenienia, zwyczajne często po kilku dniach zielenieją i w końcu nawet rozkruszyć się mogą.

Najważniejszą jest rzeczą przy tem zajęciu, każdy to przyzna zapewne, aby biedny motyl, z konieczności na śmierć skazany, przynajmniéj nie cierpiał długo. Różne też podawano środki na to, między innemi użycie do przekłócia szpilki w ogniu rozpalonéj. Dziś jednak barbarzyński ten sposób został zarzucony, przekonano się, iż najskuteczniéj, z piorunującą prawie szybkością działa na motyle cyanek potasu. Jest to gwałtowna bardzo trucizna, która pod żadnym warunkiem nie może się znajdować w rękach młodzieży i jeżeli podajemy tu sposoby postępowania, używane dziś powszechnie przy zabijaniu motyli do zbiorów, czynimy to w nadziei, że znajdzie się ktoś starszy, co w tem z pomocą przyjdzie młodym miłośnikom entomologii i tę niemiłą część roboty weźmie na siebie. Niema też żadnéj potrzeby zaraz po złowieniu motyla przebijać go szpilką; znawcy upewniają, żez bez żadnego uszkodzenia dla najpiękniejszych i najdelikatniejszych skrzydełek, może motyl pozostać kilka godzin zamknięty w papierowéj tutce, lub lepiéj jeszcze w małem pudełeczku tekturowem. Takich pudełeczek i kilka z łatwością w kieszeni przynieść można do domu i oddać osobie, która ma wziąć na siebie przykre zadanie przekalania i umieszczania w naczyniu z trucizną biednych stworzeń, śmierć ponoszących dla nauki.

W każdym razie ostrzegamy, że cyanek potasu największych wymaga ostrożności, nie należy go nigdy nawet ręką dotykać, tylko brać szczypczykami, bo gdyby chociaż lekkie zadraśnięcie znalazło się na skórze i straszliwy jad tam się dostał, mogłoby to najsmutniejsze skutki sprowadzić. Bierze się do tego słoik, zatknięty szerokim korkiem, jakich zwykle używają po składach aptecznych. Krążek z mocnego papieru nakala się gęsto szpilką, u brzegów nacina go się w pewnych odstępach, potem, pociągnąwszy ten brzeg ponacinany gumą arabską, wkłada się papier w głąb słoika i przykleja w taki sposób, aby utworzył podwójne dno. Wprzód jeszcze kawałek cyanku potasu, wielkości orzecha, owinięty w watę, umieszcza się na samem dnie słoika, dno podwójne go zatem przykrywa. Schwytanego i przekłótego motyla przybija się szpilką do korka z téj strony, która przy zatknięciu idzie do środka. Tym sposobem motyl dostaje się do wnętrza hermetycznie zamkniętego słoika. Wyziewy cyanku, wydobywającego się przez dziurki, ponakalane w papierze, w jednéj chwili spełnią zabójcze swoje zadanie.

Słoiczek podobny dobrać należy niezbyt duży, ażeby wchodził z łatwością do kieszeni. Niektórzy urządzają to w sposób odmienny. Cyanek potasu, rozcieńczony wodą mieszają z gipsem na rodzaj ciasta, umieszczają ten placek na dnie słoika, więc denko papierowe jest niepotrzebne, a cyanek w gipsie przechowuje się nawet dłużéj.

Motyl nieżyjący przechodzi następnie do pudełka drewnianego, które jest także niezbędną częścią rynsztunku łowcy motyli. Pudełko to zawiesza się na tasiemce przez ramię, powinno być koniecznie z lekkiego drzewa, blaszane byłoby bardzo niepraktyczne, bo się na słońcu rozgrzewa. Skrzyneczka taka, niezbyt duża, miara najstosowniejsza jest 35 centymetrów długości, 18 szerokości, powinna być podzielona na trzy części, a w części najobszerniejszéj dno należy wyłożyć warstwą korkową, ażeby szpilki z motylami łatwo w nią wchodziły. Dwie mniejsze komórki służą do umieszczania gąsienic i poczwarek, gdyż łowcy motyli są zazwyczaj także i hodowcami.

Przyszedłszy do domu ze zdobyczą, nie odkładając długo, zająć się trzeba ostatecznem ułożeniem schwytanych motyli. Póki więc nie są jeszcze zesztywniałe, rozkłada się je na osobnym przyrządzie, także niezmiernie prostym i łatwym do sporządzenia własnoręcznie. Na deseczce zwyczajnéj przytwierdza się dwa grubsze, gładkie, czworograniaste kawałki drzewa, w taki sposób, ażeby utworzyły niby dwie ścianki, równolegle leżące obok siebie, pośrodku zaś pozostaje wązka szparka, wyłożona na dnie korkiem. Motyl umieszcza się na tym przyrządzie tak, aby ciałko przebite szpilką leżało na szparce, w którą wchodzi szpilka i w korkowem dnie utyka. Po obu stronach, na gładkiéj powierzchni deseczki rozkładają się płasko skrzydełka, dobrze uważać przytem należy, ażeby wszystkie cztery były widoczne w całéj okazałości. Ułożywszy je, można przycisnąć wązkiemi papierowemi paseczkami, a brzegi tych pasków przykleić gumą lub przypiąć do deseczki malutkiemi szpileczkami. Na tym przyrządzie, który najlepiéj jest trzymać w szafie lub szufladzie, gdyż na otwartem powietrzu latające owady łatwo motyle uszkodzić mogą, powinny pozostawać póty, póki zupełnie nie wyschną. Wówczas dopioro zatyka się szpilki w miejscu, gdzie już na zawsze przechowane być mają.

Może się zdarzyć niekiedy, że w skutek mimowolnego opóźnienia, motyle wyschną zanadto i zesztywnieją, nim się zdąży je ułożyć porządnie na tym przyrządziku. Podamy tu sposób łatwy przywrócenia im giętkości. Bierze się naczynie jakiekolwiek, czy to słoik zakorkowany, czy coś innego, byle do pokrywki można było przytwierdzić motyle na szpilkach, pozostawiając je we środku naczynia, zamkniętego hermetycznie. Na dno nasypuje się warstwa wilgotnego żwiru, skrapiając go nieco kwasem fenilowym, dla ochrony od pleśni. W parę dni motyle najbardziéj zeschłe doskonale się odświeżają.

Lepszy jeszcze jest inny sposób i kto może, niech odrazu ten zastosuje. Na dnie naczynia, zamiast wilgotnego żwiru, nakłada się warstwa drobno pokrajanych liści rośliny, zwanéj laurowiśnią, *cerasus laurocerasus*. Liście te powinny być suche i zupełnie rozwinięte, pąki nie nadają się do tego użytku. Gdyby pożółkły i zeschły, można je zmienić parę razy w naczyniu. Motyle odświeżane tym sposobem nie zmieniają barwy, co niekiedy się zdarza przy użyciu pierwszego sposobu; zwłaszcza niektóre gatunki motyli łatwo bardzo bledną i płowieją od wilgoci żwiru.

Wdzięczni bylibyśmy niezmiernie czytelnikom naszym, gdyby nam zechcieli donieść, czy te wskazówki okażą się praktyczne, czy im się na co przydadzą? O urządzaniu zielników podług podawanych przez nas sposobów, miewaliśmy pożądane wiadomości; donoszono nieraz, że się udawały dobrze, co nam wielką sprawiło przyjemność.

M. J. Z.

WSPOMNIENIA Z WAKACYJ,

Z DZIENNIKA MŁODÉJ DZIEWCZYNY,

spisała **Br. Kuczyńska.**

(Dalszy ciąg).

Wysłany naprzód siostrzeniec zarządził nastawienie samowara, gdyż o obiedzie nie mogło być mowy. Jakżeż mile słuchałyśmy szumu gotującéj się wody! Koszyk nasz podróżny stał na stole, ponieważ i nasz woźnica do tego samego zajechał zajazdu; w mig rozpakowałyśmy obfite zapasy, które bardzo ponętnie się przedstawiały, dla naszych wygłodzonych żołądków. Godzina już była 12-ta, w pokoju sklepionym przyjemny chłód panował, zasiadłszy więc wygodnie, zajadamy i zapijamy, usługują nam przytem uprzejmi młodzieńcy, martwi nas to, że nic prawie jeść nie chcą, chociaż my ich do tego zachęcamy, ponieważ są zaproszeni na obiad w sąsiedztwo.

Przy jedzeniu przypominam sobie o roślinach, spoczywających w puszce pana Stefana, zaglądam do nich, a że były zupełnie świeże, więc posyłamy po bibułę i wraz z uczonym botanikiem zabieramy się do suszenia. Nieźle jakoś poszło, postarałam się jeszcze o dwa grube kawały tektury, które usłużna gosposia z jakiegoś starego pudełka wyrwała i postanowiłam wziąć ze sobą to wszystko do Janowca, aby i tam rośliny zbierać, ku czemu botanik użycza mi swéj łopatki, którą mam zostawić w zajeździe za powrotem.

Po tym improwizowanym obiedzie, wyszliśmy wszyscy raz jeszcze na rynek, aby ogólnie mu się przyjrzeć. Wybrukowany jest cały, a niektóre z otaczających go domów mają starodawną cechę, tę im nadają wysokie podsienia, czyli rodzaj galeryi na słupach opartych, a od frontu domu dodanych. Pozostawał nam jeszcze jeden kościoł do zwiedzenia, ku niemu więc zwróciliśmy swe kroki; po drodze jeden z faktorów, siwowłosy Aron, znów zbliżył się, ofiarując swe usługi. Tym razem zostały z konieczności przyjęte, gdyż zdobył on klucze od drzwi niezmiernie oryginalnego korytarza, powoli ku górze się wznoszącego, a który stanowi wejście najprzód na maleńkie, staremi drzewami ocienione podwórze, a następnie do kościoła i klasztoru, bo jest to dawna OO. Reformatów siedziba.

Kościołek ten, na wzór zwykłych reformackich zbudowany, z ciemnemi ołtarzami i obrazami świętych patronów tego zakonu. Z kościoła jest zejście do grobów, w których jeszcze widoczne leżą ciała zakonników w habitach. Całe nasze towarzystwo zwiedzało te podziemia, prócz mnie jednéj; nie lubię przypatrywać się temu, co nie żyje, dziwnie przygnębiające wywiera to na mnie wrażenie, a że pragnęłam być ciągle wesoła, więc pozostawszy na górze, rozmawiałam z żoną zakrystyana. Ta wcale nie dziwiła się, iż zejść do grobów nie chciałam, bo także ma takie usposobienie, jak mówiła; opowiadała mi przytem, że jeden tu jest tylko ksiądz, mieszkający w celi któregoś z dawniejszych mieszkańców tamtejszych; zachęcała mnie, abym z nią poszła, to mnie po korytarzach klasztornych oprowadzi tymczasem. Wolałam jednak zaczekać chwilę i razem pójść z innymi. Bronia żałowała, że dała się unieść ciekawości, bo bardzo przykrego doznała uczucia.

Tuż przy drzwiach od wejścia są schody, prowadzące na górę, weszliśmy na nie, aby zwiedzić owe korytarze, które są zupełnie jeszcze dobrze zachowane, jakoteż i cele, z obu stron się znajdujące. Przez okna zakratowane widać było szafy z książkami, jest to podobno część dawnéj klasztornéj biblioteki. Przy końcu jednego korytarza spostrzegłyśmy uchylone drzwi i usłyszałyśmy szmer jakiś, zaciekawione nad wyraz, co to być może, wystawiając sobie w bujnéj swéj wyobraźni różne dziwy, zbliżamy się pocichutku i naraz obie parskamy śmiechem głośnym, serdecznym, który echem rozszedł się po wszystkich sklepieniach i zaniepokoił panów, przyglądających się jeszcze starodawnym foliałom.

Ale bo też doprawdy można się było szczerze rozśmiać, choć przyznaję, że w danych okolicznościach było to trochę niegrzecznie; z pewnością nikt ze śmiertelnych nie mógłby się był domyśleć tego widoku, jaki nasz uderzył. Bo to ni mniéj ni więcéj, tylko ujrzałyśmy w owéj celi młodego jakiegoś mężczyznę w białym fartuchu, otoczonego kłębami papierosowego czy też fajkowego dymu, i pilnującego kilku robotnic, zajętych wydrążaniem wiśni. Widok to był tak niespodziewany i tak nieodpowiedni wśród poważnych cel zakonnych, a przytem taki zabawny, że nie można było nam brać za złe naszego śmiechu. Panowie, zbliżywszy się, nie oparli się także pokusie, i choć nie tak głośno, ale śmieli się serdecznie.

Ów jegomość, którego nawet wpośród fantastycznych obłoków dymu dojrzeć nie mogłyśmy, był podobno cukiernikiem z Warszawy, przygotowywującym smaczne konfitury dla delikatnych miejskich podniebień. Pewno musiał być na nas obrażony, ale to trudno, nie śmiać się było niepodobieństwem, powtarzam raz jeszcze. A co tam było miednic, rondli, patelni, to pewno i klasztorna kuchnia więcéj nie posiadała tych przyborów.

Poza oknem, znajdującem się w końcu korytarza, a przez które przyglądałyśmy się znów innemu widokowi, jest urządzony kompas, owoc pracy zapewne którego z pracowitych zakonników. Pan L. spostrzegł z przerażeniem, iż godzina już była druga, jak utrzymywał, w miłem naszem towarzystwie i widocznem naszem zajęciu się tem, co on prawie kocha, tak mu było przyjemnie, że zapomniał o godzinie; lecz teraz śpieszyć się musi, bo konie pewno już dawno czekają, a i litewskie kołduny, na które byli zaproszeni czekać nie lubią. Pożegnaliśmy ich z wielkim żalem, bo nam bardzo dobrze było razem, widocznie znajomość, w podróży zawarta, łatwiéj jakoś się zawiera i mniéj ceremonialną się staje; a może to bywa tylko z takimi ludźmi jak pan L. i jego siostrzeńcy.

Na nas był też już wielki czas do Janowca podążać, bo choć odległość niewielka, ale potem jeszcze do Puław wracać trzeba było, aby się dobrze wywczasować i do Czarnolesia jechać. Już tę wycieczkę obiecaną miałam dawno i cieszyłam się nią nadzwyczajnie, bo często o tem marzyłam, aby siedzibę uwielbianego przezemnie Jana Kochanowskiego i uroczéj Urszulki poznać.

Schodzimy tedy nad Wisłę, aby promem na drugi brzeg się przedostać, chwilę trzeba było oczekiwać, bo właśnie przewoźnicy wracali z tamtéj strony. Nadjechał jakiś pan poważny węgierskim wózkiem, zaprzężonym w gniade konie, które odrazu bardzo mi się podobały, bo przypominały te, któremi zawsze w domu powożę. Prom zbliżył się tymczasem, weszliśmy więc wraz z gromadką ludzi, czekających również na przewóz, wózek wjechał także, a właściciel jego zsiadłszy, podszedł ku nam z grzecznym ukłonem i zapytaniem: Czy do Janowca dążymy? Nie trudno było domyślić się celu naszéj wycieczki, bo obie z Bronią miałyśmy zwrócone ku tamtéj stronie oczy i w dalszym ciągu, po przedstawieniu się wzajemnem nawet, nie bardzo zważałyśmy na rozmowę panów. Dopiero gdy o uszy moje się obiła nazwa Nałęczów i nazwisko artystki, która dawniéj czarowała wszystkich w teatrze, obecnie nie występuje już, choć tego wszyscy żałują, bo cudnego jéj wrodzonego wdzięku nikt zastąpić nie może; gdy więc usłyszałam wzmiankę o osobie, którą pragnęłam usłyszeć całą duszą, a przytem wymieniono wyrazy: „koncert, nowy ołtarz w kościele", nie mogłam wytrzymać dłużéj na swojem miejscu, bo plusk wioseł nie pozwalał dobrze słyszeć, zapomniałam o swéj piętnastoletniéj powadze, podskoczyłam i pobiegłam pędem, tak, że aż gniadosze się przestraszyły. Szczęściem stangret trzymał je mocno, bo mogłoby się stać co złego.

Zawstydziłam się trochę i wolniéj zbliżyłam do ojczulka, który już domyślił się, o co mi chodziło; nie chciał mi jednak zaraz powtórzyć to, czego się dowiedział, lecz wprzód mnie przedstawił jako swoję jedynaczkę, troszkę czasem roztrzepaną, któréj to trzeba wybaczyć, bo bardzo kocha

wszystko, co swojskie i to głównie ją w taki zapał wprawia, że gotowaby nawet do wody wskoczyć, gdyby tam miały się znajdować jakieś ciekawe zabytki z dawnych czasów. Pan B. obywatel z Radomskiego, uśmiechał się i może litował nademną, bo raki jeden po drugim pojawiały się na méj twarzy, gdy zdobywszy się na piękny dyg, stałam spokojnie, aby się prędzéj dowiedzieć o wszystkiem. Nie nadużywał méj cierpliwości kochany ojczulek i przedstawiwszy jeszcze moję koleżankę, powiedział:

— Czy wiecie, panienki, że pojutrze koncert w Nałęczowie? Bierze w nim udział nieznana wam, ale wysoko ceniona przezemnie artystka, pani S., która przebywając w pobliżu Nałęczowa na letniem mieszkaniu, została uproszona do wypowiedzenia jakiego wierszyka. Jaka szkoda, że droga nam nie tamtędy wypada... prawda? — kończył, spoglądając na mnie z filuternym uśmiechem.

— Jakto nie tamtędy droga prowadzi? alboż inaczéj jechać można? tylko trochę od stacyi zboczyć trzeba, ale to przecież nic nie szkodzi. Wszak zrobisz to, ojczulku, dla mnie, a że o jeden dzień powrót nasz do domu się opóźni, to także nic nie szkodzi, żniwo jeszcze daleko, a przeczuwając, że ojczulek coś o letnim rzepaku chce wspomnieć, przerwałam mu prędziutko i zwracając się do p. B., dodałam, uprzedzając tamte słowo — wszak jeszcze nawet i na rzepak zawcześnie...

I wygrałam sprawę! przyznaję wprawdzie, że mi to wcale nie było trudno, i zdaje mi się, że mój drogi ojczulek, usłyszawszy o koncercie, odrazu umyślił sobie zboczyć, aby skorzystać z téj szczęśliwéj sposobności; ale chciał się troszkę dać poprosić, a ponieważ ja wiem, że każde moje pragnienie, o ile w granicach możliwości się mieści, spełnione bywa, więc też i prosić mi łatwo zwykle przychodzi. Radości méj trudno wystawić sobie w chwili, gdy już byłam pewna, że ziści się to, czego oddawna sobie życzyłam, i że przy téj sposobności poznam piękny Nałęczów i jego okolice.

(d. c. n.)

SZCZEGÓLNE ŁOWY.

Od niepamiętnych czasów i u wszystkich narodów ludzie używali pomocy zwierząt do polowania. U nas obecnie tylko psy rozmaitych gatunków przyuczane są do tego, dawniéj bardzo rozpowszechnione były łowy z sokołami. Najosobliwszy jest jednak pomysł używania do tego ryb. W Ameryce np. i innych nadmorskich okolicach krajowcy umieją delfiny zaprawiać do łowienia tyńców, makreli i innych ryb. W innych stronach znów nieduża ryba, zwana podnawką, *echeneis remora* lub *naucrates*, służy do łowienia ogromnych żółwi. Szczególniejsze te łowy widywali podróżnicy na wybrzeżach afrykańskich i amerykańskich, na wyspie Kubie i w innych miejscach, gdzie przebywają żółwie morskie.

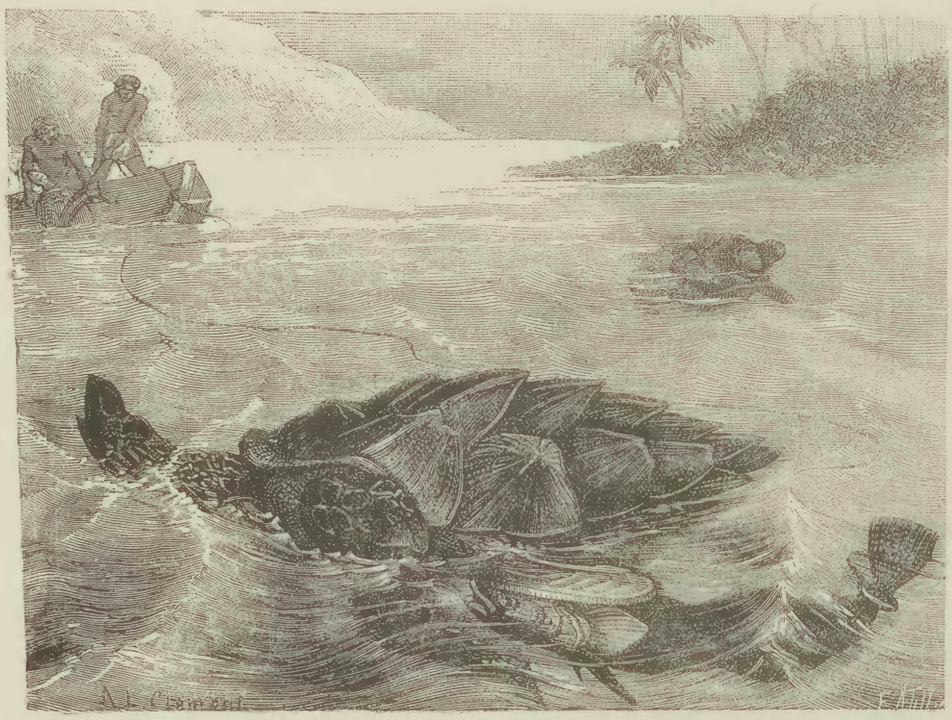

Szczególne łowy.

O podnawce musimy wprzód powiedzieć słów kilka, gdyż ryba to historyczna. Starożytni żeglarze rzymscy i greccy utrzymywali, że pomimo niepozornéj postaci i rozmiarów niewielkich, podnawka ma siłę zatrzymać statek, gdy się do spodu jego mocno uczepi. Prawdy w tem jest tylko

tyle, że ryba ta rzeczywiście czepia się statku, tak samo jak i innych twardych przedmiotów, napotykanych w wodzie, skał, głazów, a często także i ryb większych, jak rekinów, którym nawet zazwyczaj towarzyszy. Poco to robi, niewiadomo, lecz musi to jéj być na coś potrzebne, bo zwierzęta rządzą się zawsze nieomylnym instynktem. Ma też podnawka do téj czynności niezwykłéj przyrząd osobny, niezwykły także. Na wierzchu głowy jéj leży płaska, podługowata tarcza, poprzecznemi, ruchomemi wręgami podzielona, a są to jakby bańki, któremi ryba silnie chwyta każdy twardy przedmiot.

Tarczę tę widać wyraźnie na rysunku naszym, wygląda tak, jakgdyby duży krążek drewniany leżał na grzbiecie ryby. Widzicie tu bowiem podnawkę, wypuszczoną na długiéj linie, uwiązanéj do obrączki żelaznéj, która zaciska ogon ryby. Indyanie przywożą ją z sobą w łodzi, trzymając rozumie się w naczyniu, napełnionem wodą słoną; przybywszy na miejsce, gdzie już wprzód upatrzyli żółwie, wypuszczają podnawkę, a ta usiłuje zerwać się z liny i uciec. Nie mogąc tego dokazać, szuka wszędzie dokoła schronienia, spostrzega żółwia, ukrywa się pod nim i do twardéj skorupy przylega całą siłą. Gdy trzyma się jéj dostatecznie, Indyanie przyciągają linę, na któréj już teraz mają dwóch jeńców, ryba bowiem ciągnie za sobą skorupę żółwia, a większy daleko zwierz nie może się oderwać i pozbyć nieproszonego towarzysza.

SIŁA UCZUCIA,

PODANIE DAWNE.

Przed wiekami pewna niewielka wysepka, jedna z wysp Hebrydzkich, kwitła szczególniejszem szczęściem, niby raj maleńki, zamieszkały przez kilka licznych, pracowitych rodzin, używających w zgodzie i spokoju swobodnego i pełnego prostoty życia. Wtem okrutni rozbójnicy morscy, grasujący po wszystkich morzach wówczas znanych, dowiedzieli się o cichym, szczęśliwym zakątku, zajrzawszy raz doń przypadkiem i postanowili z odkrycia korzystać. Więc najprzód zaczęli grabić i łupić wszystko, co mogło im się przydać, nawet młodych chłopców i młode dziewczątka porywając do siebie na ciężką służbę, jeżeli nie zdołała młodzież, wypatrzywszy ich zbliżanie się do wysepki, uciec i ukryć się w niedostępne i trudne do znalezienia kryjówki w skałach. Potem, gdy nie było co brać i gdy rozbójnicy spostrzegli, że młodzież nauczyła się ukrywać, wzięli się na inny sposób: oto chwytali kogo bądź, choćby najstarszych ludzi, którzy i uciekać nie mogli i ukryć się gdzie już nie mieli, i na wzgórzu umyślnie, aby to było widocznem, mordowali ich, zadając najsroższe męczarnie, chcąc bólem wydobyć u nieszczęsnych wyznanie, gdzie są ukryte jakiekolwiek zapasy i młodzież. Dużo starców umierało, nie wydawszy nic; ale i tak się zdarzało, że dzieci i wnuki, słysząc jęki konających, wybiegały same z kryjówek i oddawały się rozbójnikom aby starców ocalić.

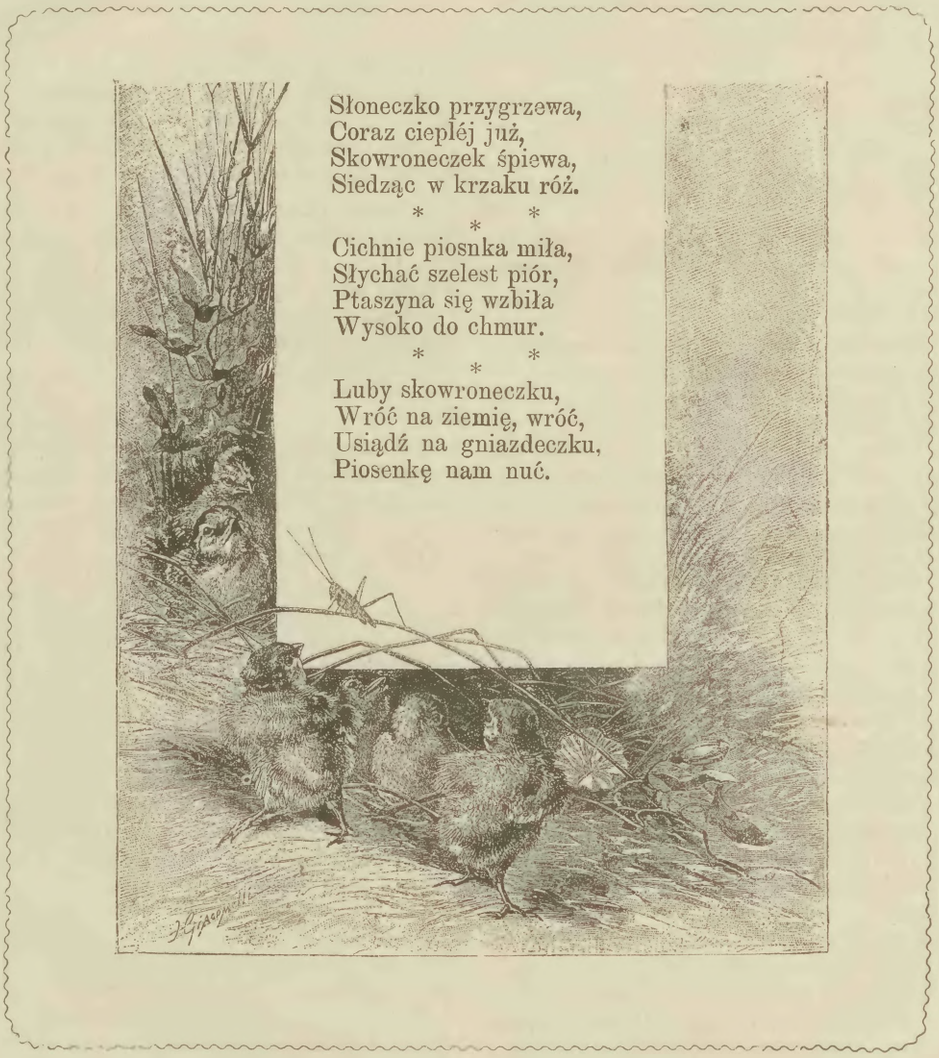

Straszna rozpacz zapanowała wśród zgłodniałej i umęczonéj ludności na szczęśliwéj dotąd wysepce. Chociaż rozbójnicy odpłynęli, rozpacz nie opuszczała mieszkańców, bo nie wiedzieli ani dnia ani godziny, w których powrócić miało nieszczęście, a powracało niechybnie. Nie warto było nawet starać się o utrzymanie życia, gdy wszystkie owoce starań i trudów wróg zabierał wraz z życiem samem. Nieszczęśliwi zamyślali już wszyscy odrazu rzucić się w morze i tak zakończyć nędzę swoję, gdy wtem jeden ze starców rzekł:

— Czekajcie, sprobujmy jeszcze jednego sposobu!

— A jakiż tu sposób istnieć może!... — westchnęli zrozpaczeni.

— Oto taki: wszak wiadomo wam, że wódz rozbójników, którzy nas mordują, dla tego właśnie trafił do naszego zakątka, że sam zeń pochodzi, i bratem jest naszego poczciwego Oswalda; ale porwany dzieckiem wraz z łódką przez fale, dostał się w ręce rozbójników i wśród nich na rozbójnika wyrósł...

— Niestety! wiemy o tem dobrze — zapłakali i inni nieszczęśliwi — bo wszakże on na tej niby to zasadzie, że ztąd pochodzi, rości prawo do panowania nad nami.

Oswald, mąż w sile wieku, nic nie mówił, tylko zakrywszy twarz, płakał.

— Otóż to właśnie — mówił daléj starzec — na téj zasadzie, że i rozbójnicy mają zawsze zwyczaj, jakby na urągowisko prawom, udawać, że działają na jakiejś zasadzie... Niech Oswald dla dobra rodzinnéj wyspy i całéj naszéj ludności poświęci się, niech się odważy na rozmowę ze swoim strasznym bratem i niech mu powie, że jeżeli jeden brat ma prawo do panowania nad wyspą dla tego, że się na niéj urodził, to takie samo prawo ma i drugi brat; niech rozsądzi to prawo pomiędzy dwoma braćmi pojedynek, którego Oswald zażąda. Wiemy, że takie rzeczy dzieją się między rozbójnikami, że oni robią sobie z nich rozrywkę, więc kto wie, może też nie zamordują Oswalda od razu, lecz pozwolą mu z sobą rozmawiać i może rozbójnik przystanie na pojedynek, a wtedy reszta zależałaby już tylko od rozumu i sił Oswalda, który kocha serdecznie nas wszystkich, i swoję własną liczną rodzinę, i wyspę, na któréj prochy jego pradziadów spoczywają, a wiadomo, że rozum i siły mają źródło w sercu, w uczuciu...

Umilkł starzec i wszystkie oczy błagalnie zwróciły się na Oswalda. On odkrył twarz łzami zalaną i rzekł:

— Uczynię powinność moję, żegnajcie! — i wziąwszy kawał żagla na żerdź wysoką, i dużą konchę służącą do przesyłania głosu daleko, poszedł na miejsce gdzie zazwyczaj rozbójnicy wylądowywali, i czekał, a wszystka ludność skryła się, jak mogła. Czekał, aż niespodzianie, jak zawsze, ukazała się z daleka wielka łódź rozbójnicza. Natenczas Oswald zaczął machać żaglem na żerdzi i wołać przez swoję konchę to wszystko, co mówił starzec, w tych słowach:

— Bracie mój, straszny rozbójniku! słuchaj mię, bom jest Oswald, brat twój bliźniak, i chcę ci słowo powiedzieć!

Oswald dla tego tak zdaleka wołał, że z blizka możeby czasu na rozmowę nie było, gdyż rozbójnicy częstokroć mordowali ludzi przed rozmową. Usłyszano i zrozumiano jego wołanie, i na łodzi zbliżającéj się ciągle tymczasem, powstał ogromny, o dwie głowy od towarzyszy wyższy dowódca, i zawołał, biorąc się jedną ręką w bok, a w drugiéj gołym i błyszczącym wymachując mieczem:

— Jam jest pan i władca wyspy, na któréj zrodzony byłem, czegoż to chcesz odemnie, bliźniaku?

— Jeżelim ja ci bliźniak — odparł wtedy Oswald — to wyspa, na któréj byliśmy zrodzeni, jednakowo tak do mnie, jak do ciebie należy; dla czegoż więc i jakiem prawem ty sam jeden jéj władcą się mienisz?

— Dla tego, żem nią zawładnął; kto ma siłę, ten ma prawo! — dumnie odpowiedział olbrzym.

— Albo to ty nią zawładnąłeś? — krzyknął na to Oswald — albo to ty masz siłę? to ręce i miecze licznych twoich towarzyszy zawładnęły wyspą, to oni mają siłę, ale nie ty!

— A to i prawda! — rozśmieli się towarzysze rozbójnika. To dotknęło dumę jego, zaczerwienił się i zakrzyczał:

— Niech i tak będzie! Słuchaj, mój bliźniaku, pojedynkujmy się, kto zwycięży, zawładnie wyspą!

— Niech tak będzie! — rzekł Oswald.

— Niech tak będzie! — powiedzieli rozbójnicy i wylądowali na skały, na których stał Oswald. Rozbójnik brat zbliżył się do bliźniaka, zmierzył się z nim, a widząc jego głowę poniżéj swéj piersi, wzruszył wzgardliwie ramionami i usiadł spokojnie na skale.

— Któż będzie układał warunki pojedynku? — spytali rozbójnicy.

— Wy! — odrzekli bracia bliźniacy. Rozbójnicy zasiedli, naradzili się i taki wydali wyrok:

— Odpłyniemy od wyspy na kilka mil, tam spuścimy na fale dwie te oto maleńkie łódki, dwaj bracia bliźniacy wsiądą, jeden w jednę, drugi w drugą, i popłyną, a my popłyniemy za nimi: który z nich dwóch prześcignie drugiego i własnem ciałem i krwią dotknie gruntu rodzinnéj wyspy, ten będzie nad nią panował, a drugi odejdzie w pokoju.

Dwaj bracia przystali na taki wyrok, któremu nic nie można było zarzucić, gdyż takie „dotknięcie ciałem i krwią” było najstarożytniejszą formą „wzięcia w posiadanie”, jaka istniała na lądach i morzach, w tem to właśnie znaczeniu i Bolesław Chrobry mieczem swoim „dotykał” bramy kijowskiéj, bardzo być może, że prócz tego dotykał jéj i gołą ręką, „własnem ciałem i krwią”, wedle starego zwyczaju. Tak rozsądzili rozbójnicy i natychmiast zajęto się tym pojedynkiem. Wszyscy wsiedli napowrót do ogromnego statku rozbójniczego, odpłynęli na kilka mil od brzegu, spuścili dwie maleńkie, jednakowe łódki, każda o dwóch wiosłach i żaglu, w każdą wsiadł jeden bliźniak, i na dany znak obie pomknęły razem, odepchnięte od wielkiego a bystrego statku, który posunął z daleka za niemi.

Oswald, choć nie olbrzym, był przecież dzielny, zręczny i silny; z początku więc doskonale się trzymał, a nawet, jako daleko zręczniejszy, na czem olbrzymom najczęściéj zbywa, zaczął wkrótce znacznie brata prześcigać, tak, że gdyby wyścig trwał krócéj, byłby wygrał niezawodnie. Odległość jednak była za daleka na zwykłe ludzkie siły, więc olbrzym o sile nadzwyczajnéj, co z początku na zręczności stracił, to późniéj zaczął wytrwałą siłą odzyskiwać. Gdy trzy części drogi przepłynęli, on się już z bratem zrównał. W czwartéj części płynęli jakiś czas równo, bo nieszczęsny Oswald, krwawym potem i krwawemi łzami oblany, dobywał sił ostatnich z głębi kochającego serca; ale wszystko ma swe granice... W pobliżu wysepki olbrzym zaczął znacznie brata wyprzedzać, a wkrótce już mu potrzeba było tylko kilka razy wiosłem uderzyć, aby na pierwszy brzeg wyspy mógł wyskoczyć. A wtem Oswald, czerpiąc pomysł i siłę w rozpaczy, wyskoczył ze swego czółenka w morze wśród skał przybrzeżnych i kładąc swoję lewą rękę na skale, odciął ją jednem cięciem miecza, potem, wziąwszy tę lewą rękę w rękę prawą, cisnął ją z takim zamachem, że upadła krwią zbroczona na wybrzeże wysepki rodzinnéj, a Oswald krzyczał:

— Oto biorę Boga na świadka, że ciało moje i krew moja, *pierwsze* dotknęły gruntu rodzinnéj wyspy!

Olbrzym stanął jak wryty w łódce swojéj, i wielki rozbójniczy statek zatrzymał się także nieruchomo... a potem jeden i drugi zawrócili i znikli wkrótce na krańcach widnokręgu, nie dotknąwszy więcéj stopą wysepki bliźniaka Oswalda.

Uratowani i wdzięczni mieszkańcy okrzyknęli władcą swym Oswalda, żądając, aby *ręka zakrwawiona* była odtąd jego znakiem rodowym. Jakoż ród Oswaldowy przez wiele wieków panował nad szczęśliwą znowu wysepką, a jedna z najznakomitszych rodzin szkockich posiada dotąd w herbie swym *rękę zakrwawioną*.

GWIAZDA SUDANU.

Przygody podróżników w Afryce środkowéj.

(Dalszy ciąg).

Innym razem uraczył nas Auab improwizacyą śpiewaną jednego ze swoich menestrelów, który zawodził na cześć naszą hymny pochwalne przy towarzyszeniu piszczałki. Jest to narzędzie muzyczne całkiem pierwotne, urządzone po prostu z trzciny, opatrzonéj dwiema czy trzema dziurkami z boku. W pieniach tych, dla nas naumyślnie złożonych, improwizator sławił wysokie wojenne zdolności męża, którego zwał „Francis bono”, a był to rozumie się towarzyszący nam zawsze p. Lemercier. Potem wynosił pod niebiosa mądrość sędziwego botanika, jego znajomość wszelkich ziół, dobroczynnych i jadowitych, wreszcie wiedzę głęboką lekarza pięknéj cudzoziemki. Lekarzem byłem oczywiście ja, piękną cudzoziemką p. Katarzyna. Dla niéj jednak nie śpiewano osobnego hymnu, jak domyśliliśmy się późniéj, przez nadmiar czci i uszanowania, nie chciano jéj kłaść na równi z innymi.

Tegoż samego dnia wieczorem, około dziesiątéj godziny, trubadur Auaba zbliżył się do naszych okien i zasiadł na trawie po turecku. Najpierw flecista odegrał rodzaj uwertury, improwizator następnie głos podniósł i śpiewał na smętną, jednostajną nutę, następującą piosenkę, którą sobie co do słowa spisałem:

„Cudzoziemka jest biała, jak mleko, wysmukła, jak gazela, kibić jéj wznosi się wspaniale, jak palma najcudniejsza. Gdy się porusza, podobna jest do gałązki palmowéj, wiatrem wieczornym kołysanéj. Gdy się przechadza, oczy patrzących pociąga do siebie, w sercach ich budzi niepokój. Lica jéj są tak jasne, jak tarcza księżyca w pełni, rozpraszają ciemności dokoła. Policzki jéj, rumiane jak korale, mają wdzięk owocu palmowego, piękna cudzoziemka podobna jest do rozkosznego, dojrzałego daktyla. Wzrok jéj przeszywa tak trafnie, jak strzały wojowników z Timisao, oczy jéj, to dwie gwiazdy najjaśniejsze. Zęby ma bielsze od najpyszniéjszéj kości słoniowéj z Bornu. O, dla niéj, dla pięknéj cudzoziemki, warto skosztować mózgu hyeny!”

— Ho ho! patrzcież państwo, co mu to w głowie — zawołał p. Lemercier — a toż serenada po formie i serenada, mająca bardzo poważne znaczenie.

— Czyżbyś pan sądził?... — zapytałem.

— Nie słyszałżeś pan o mózgu hyeny?

— Cóż to znaczy?

— Ba, co znaczy! Tu w Sudanie, jeżeli się kto zakocha na zabój, mówią o nim, że skosztował mózgu hyeny. Trubadur ten poprostu wyśpiewał oświadczyny.

— Jakto? przypuszczasz pan, że ten człowiek był tak zuchwałym?...

— Ależ nie on wcale, tylko pan jego, Fredżi eg Auab. On przecież śpiewał w jego imieniu. Wódz Tuaregów popodał mu treść i kazał w ozdobnych słowach wyśpiewać własne swoje myśli.

— Więc pan przypuszczasz, że ten wódz, ten Auab?...

— Toż jasne, jak słońce, piękna panna go oczarowała i oto wystąpił odrazu z oświadczynami.

— Oświadczył się p. Katarzynie?

— Przecież nie pani Guduli.

— Ależ to niepodobna.

— Cóż niepodobnego? Ja już przedtem zauważyłem, że ile razy p. Katarzyna przechadza się po ogrodzie, wódz patrzy na nią, jak w tęczę.

— To straszne rzeczy! Przecież to dziki człowiek.

— Ej, dziki, dziki; lepszy on jest, chociaż dziki, od wielu oświeconych Europejczyków.

— A toż prawdziwe nieszczęście. Mów pan sobie co chcesz, zawsze to nowe dla nas niebezpieczeństwo; bo jeżeli mu się naprawdę ubzdrzy takie szaleństwo w głowie, gotów nas potem gwałtem zatrzymywać. Ale czyż on jest dotąd nieżonaty?

— Nigdy do téj pory, wiem to doskonale, nie spojrzał nawet na żadną kobietę, choćby najpiękniejszą. Nie mały to tryumf dla p. Katarzyny, że w nieczułem sercu wodza odrazu taki płomień roznieciła.

— Dajże pan pokój, mnie to przeraża.

— Niesłusznie, mój drogi panie. Znam dobrze tego człowieka, którego pan pogardliwie dzikim nazywasz. Jest zacny szlachetny, wspaniałomyślny; nie pojmuję, zkąd się wziął w Afryce taki rycerz średniowieczny. Bądź pan pewny, że uczucia swoje w rycerski sposób jedynie objawiać będzie i żadnéj przykrości państwu nie przyczyni. Nie dziwiłbym się wcale, żeby p. Katarzyna oceniła to bohaterskie serce, jak na to zasługuje i wzajemnością mu odpłaciła.

— Co też panu w głowie! Chciałbyś pan, żeby wyszła za wodza afrykańskiego?

— Alboż wódz afrykański to nie taki sam człowiek, jak inni?

Nic już nie odpowiedziałem, wzruszyłem ramionami, a że już pora była spóźniona, powiedzieliśmy sobie dobranoc i udaliśmy się każdy w swoję stronę na spoczynek.

IX.

Timbuktukoj.

W rozległych zabudowaniach zaui mieści się jeszcze jeden oddział, o którym nie wspomniałem dotąd. Jest to rodzaj salonu publicznego, w którym gromadzą się, i mieszkańcy miejscowi, i przybysze z najrozmaitszych stron kuli ziemskiéj, w ogóle ludzie poważni, uczeni, „ulemowie” naprzykład, pełniący obowiązki kronikarzy i zapisujący dziejowe wypadki współczesne. Politycy, dyplomaci, tu roztrząsają sprawy krajowe, udzielają sobie ważnych wiadomości, porozumiewają się pomiędzy sobą. Obok tego salonu głównego mieści się coś nakształt cukierni, gdzie goście zapijają „wodę Simsim” i palą cygara z Bamba, ku wielkiemu zgorszeniu Fulanów. Jednem słowem ta część zaui odpowiada naszym europejskim resursom, klubom, kasynom.

Było to 5 Stycznia 1880 r. około południa siedzieliśmy obaj z przyjacielem Francuzem w téj afrykańskiéj resursie, gdy rozniosła się pośród zgromadzenia wieść bardzo ważna, która też wielkie wywarła wrażenie. Mówiono, że przybył do Timbuktu poseł nadzwyczajny sułtana Ahmadu, władcy państwa Massyny i przywiózł dla szejka Achmeta el Bakai depesze niepospolitéj doniosłości.

Wiadomość okazała się prawdziwą. Treść owych depesz niedługo miała pozostać tajemnicą dla nas i dla całéj publiczności. Około pierwszéj godziny po południu piskliwy głos „muezyna” wezwał do meczetu Sankory całą starszyznę miejską, z którą zapoznaliśmy się na owym paradnym obiedzie u szejka. Na znak uroczystości posiedzenia i ważności jego, wywieszono na minarecie wielką chorągiew żółtą z zielonem.

O trzy kwadranse na drugą wszyscy dostojnicy i wysocy urzędnicy miejscy byli już na miejscach swoich w meczecie. My z Francuzem wkręciliśmy się także za innymi, wiedzeni ciekawością. Pierwszy głos podniósł szejk Achmet, wydał rozkaz przybocznéj swéj dworskiéj straży, by z należnemi honorami i ceremoniałem zwyczajnym wprowadziła szlachetnego Ali Mohameda el Feredżi, posła potężnego i najwyższego sułtana Ahmadu ben Ahmadu, wszechwładnego pana Massyny i wielu innych krajów.

Po chwili wszedł poseł, powitany pocałunkiem pokoju przez szejka i wysokich dygnitarzy zasiadł na wyznaczonem sobie miejscu i wypowiedział wieści, z któremi przybył. Objawił zatem, że plemię Auelimidenów wypowiedziało wojnę sułtanowi, a pobudzone było do tego jawnie przez Anglików.

— Wszak wiecie — rzekł na zakończenie — co to są Auelimidenowie. Nie warci nazwy ludzi, są to psy i psie syny.

— Feredżi dobrze powiedział! — wołało jednogłośnie zgromadzenie całe — mądrość przemawia przez usta jego, Feredżi jest ulubieńcem Allacha!

— Ale na nieszczęście — mówił daléj poseł — liczba tych psów, tych wszystkich Tuaregów południowych przechodzi dwa miliony. Panują oni wszechwładnie na wybrzeżach Nigru, od Gogo aż do Kabary. Ci rabusie, spragnieni krwi naszéj, wystawiają ogromne wojsko, mają już w pogotowiu kilkanaście tysięcy piechoty i parę tysięcy kopijników na koniach lub wielbłądach mehara. Bandy te mają dwóch wodzów najwyższych, jeden zowie się Alkut Tabu, drugi El Szadir, obaj stanęli głównym obozem w Bambie. Nie ulega wątpliwości, że nikczemnych Auelimidenów namówili i popchnęli do kroków wojennych niegodziwi, podstępni „Inglisy", którzy tu w Timbuktu gościnnie byli przyjmowani.

— Zdrajcy to są niecni! — zawołał uroczyście Faam — oby przeklęci byli aż do dwudziestego piątego pokolenia!

— A czy wy wiecie — mówił daléj Feredżi — jakie są zamiary naszych wrogów? Oto postanowili Timbuktu obrócić w perzynę, jak to uczynili niegdyś z miastem Gogo (w roku 1770); następnie uderzyć na Hamd Allahi, stolicę Massyny, zamordować sułtana, całe państwo jego spustoszyć, handel nasz zniszczyć, miasta Rdames i Insalach do upadku doprowadzić, zmuszając mieszkańców okolicznych, aby ztamtąd przenieśli jarmarki do Amadror.

— Piekielne to są zamiary! — zakrzyknął znów Faam — przekleństwo nie minie tych psów, psich synów.

— O tak! — potwierdził iman — o takich to niegodziwcach mówi pismo proroka: „Nie godni są napawać się wonią raju." Niema kary zbyt ciężkiéj za tak okropne przestępstwa, oby wszystkie najokropniejsze na nich spadły.

Pocieszywszy się cokolwiek, miotając złorzeczenia na wroga, którego innym sposobem nie można było dosięgnąć, dostojne zgromadzenie zaczęło się naradzać nad stosownemi środkami obrony w tak wielkiem niebezpieczeństwie

— Sułtan Ahmadu, pan mój — ozwał się z powagą poseł Feredżi — liczy na mieszkańców tutejszych i ufa, że spełnią święcie swoję powinność i bronić będą mężnie tego miasta, które jest najsilniejszem przedmurzem całego państwa.

— Przyrzekamy wszyscy — odpowiedzieli chórem dostojnicy — nie ulękniemy się nikczemnego wroga, do ostatniéj kropli krwi bronić będziemy miasta Timbuktu, nie wydamy go w niegodne ręce!

Po chwili uroczystego milczenia, szejk Achmet el Bakai oświadczył posłowi sułtana, że ma w téj chwili pod rozkazami swemi dwustu dzielnych wojowników Tademeketów, przeszło tysiąc ludzi piechoty z plemienia Kel Ulli, ośmiuset Rumasów i cztery tysiące Fulanów. Tych ostatnich, jakby przeczuciem tknięty, sprowadził był niedawno z Hamd-Allahi. Obrońców zatem było wszystkich do sześciu tysięcy, o połowę mniéj, aniżeli napastników.

(d. c. n.)

ZADANIE KONIKOWE.

(Od Amaty dla Iskierki z cichego kącika).

go	nio	i	ścią	ki	sy	ła	po
kwia	ga	ja	tki	błę	wsi	krów	la
sąc	dy	się	na	za	bra	czy	sio
ją	tki	Dzień	my	dzia	dnej	za	dzi
od	mia	dzi	cień	noc	cho	bi	mro
tam	kwi	ne	ru	zło	czy	wo	ce
ny	wo	ce	ster	ścił	słoń	wy	w głę
tną	pa	spu	co	krze	ka	o	ła

Łamigłówka zgłoskowa.

a—a—an—al—ba—fał—gu—i—ka—ka—kół—li—lio ła—mum—na—nam—nic—no—o—o—og—po—pup—ra—ro—ród—ry—sa—so—stry—sy—ti—tum—wa—war—wą—wil—wój—wóz. — Z tych zgłosek ułożyć 18 wyrazów pięciogłoskowych i wypisać w kierunku pionowym, jak wskazują kropki, które literami zastąpić trzeba:

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto portowe w Turcyi azyatyckiéj. 2. Imię archanioła. 3. Rzeka w Alpach. 4. Ludzie, mówiący jednym językiem. 5. Kwiaty wiosenne. 6. Wicher afrykański. 7. Wioska w powiecie Maryampolskim. 8. Dawna nazwa gramatyki łacińskiéj. 9. Miejscowość górska. 10. Kwiaty jesienne. 11. Kwiat wijący się. 12. Miasto słynne podpisaniem pokoju. 13. Miasteczko górnicze w Węgrzech. 14. Zwierzątko z rodzaju skrobogryzów. 15. Miasto na Litwie. 16. Ptak. 17. Roślina amerykańska. 18. Kraj w Azyi. Odczytawszy rząd pierwszy i ostatni, dowiemy się, kto i dla kogo ułożył tę łamigłówkę.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 26-go.

Szarady:

O — sta — tek.

Łamigłówki zgłoskowéj:

KaroL—RiminI—EreB—MorzE—EzeL—RoberT.
Kremer — Libelt.

TREŚĆ: Zbieranie motyli, p. M. J. Z. — Wspomnienia z wakacyj, spisała Br. Kuczyńska (c. d.) — Szczególne łowy (z drzew.) — Wierszyk (z drzew.) — Siła uczucia, podanie dawne. — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowéj (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek.** Braciszki, wiersz p. M. Ziel. (z drzew.) — Strach, p. M. Weryho. — Model. — Balik u Zosi, p. Wiochnę z pod Lublina. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów p. Michalinę Zielińską.

Дозволено Цензурою, Варшава 25 Іюня 1888 г.

Redaktorka i wydawczyni **Ludwika Hauke.**

W drukarni Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11